

DWUTYGODNIK
STARSZEGO HARCERSTWA „WATRA“.

FOR MEMBERS ONLY

NASZE ŻYCIE

Rok IV

BAD MÜNDER, 31 lipca 1948 r.

Nr 16 (99)



Od Redakcji

Począwszy od bieżącego numeru, nasz dwutygodnik rozszerza swoją służbę i staje się organem Starszego Harcerstwa poza granicami Kraju. Tę rolę do niedawna spełniał miesięcznik „Watra”, który miał być pismem samowystarczalnym i opierać się jedynie o specjalny fundusz Starszego Harcerstwa. Niestety, mimo wielkich wysiłków ze strony kierownictwa Starszego Harcerstwa, nie udało się zdobyć koniecznych funduszy, toteż wydawanie „Watry” na terenie W. Brytanii stało się rzeczą niemożliwą.

Projekt Głównej Kwatery Starszego Harcerstwa o fuzji „Naszego Życia” z „Watrą” przyjęliśmy z pełnym zrozumieniem i w przekonaniu, że wspólnym wysiłkiem uda nam się z większym pożytkiem zaspokoić potrzeby terenu.

Mamy nadzieję, że wszyscy Kierownicy pracy starszoharcerskiej pomogą nam w dziele redakcyjnym, zasilając nas artykułami i tym samym przyczyniając się do podniesienia poziomu pisma, będącego w ten sposób własnością całej Organizacji Starszego Harcerstwa.

REDAKCJA „NASZEGO ŻYCIA”.

Z dniem dzisiejszym, po kilkumiesięcznej przerwie, „Watra” wznowia swoją działalność. Odbywa się to w warunkach niecodziennych, na gościnnych łamach „Naszego Życia”, którego Zespołowi Redakcyjnemu chcemy tą drogą złożyć podziękowanie za prawdziwie harcerską życzliwość, z jaką ustosunkował się on do wysuniętych przez nas propozycji inkorporacji obu pism starszoharcerskich.

Odtąd „Watra”, wespół z „Naszem Życiem” ma znowu służyć całości Starszego Harcerstwa, przyczyniając się, mamy nadzieję, do ugruntowania i rozszerzenia naszej ideologii.

Na ten nowy okres stawiamy „Watrze” dwa zadania:

- 1 — chcemy być wyrazem życia organizacyjnego Starszego Harcerstwa,
- 2 — chcemy realizować na naszych łamach program, jakimś sobie wytknęli.

U źródła niepowodzenia „Watry” w okresie ubiegłym leżą dwie bolączki:

- 1 — fiasko Funduszu Wydawniczego Starszego Harcerstwa, a co za tem idzie — brak podstawy materialnej dla dalszej działalności w dotychczasowej formie,
- 2 — niedostateczna współpraca ogółu Starszych Harcerzy i Harcerek w redagowaniu własnego pisma, co odbijało się ujemnie na poziomie materiału redakcyjnego.

Otwierając ten nowy okres, pragniemy zwrócić się do naszych Czytelników z gorącym apelem o pomoc redakcyjną. Niech każdy, kto sądzi, że ma coś, co może zainteresować innych, napisać do nas. Od przybytku głowa nie boli. Prosimy o krytykę i sugestie. Wdzięczni będziemy za słowa uznania — jeżeli na nie zasłużymy.

REDAKCJA „WATRY”.



Dwanaście naboí

O czym myślisz, panie podchorąży,
karabin ściskając w dłoni?
W koło czego myśl twoja krąży
i za czym wspomnienie twe goni?
Patrz!
masz przed sobą barykadę,
za nią jest wolność!
a przed nią co...?
Czy myślisz, panie podchorąży,
że to nie wszystko,
że to... nie Tol
Mówisz, że w żyłach twych płomieni-
[ny zew,
że chciałbyś granatem
za krew brać krew?
Mówisz, żeś synem
tej ziemi,
gdzie każdy Polak jest ci bratem,
że pragniesz zemsty za te pięć lat...
Masz w sercu wzniośle ideały,
masz w sercu ideałny świat
i myśli górne
i myśli dumne.
Jesteś zwycięski
i zuchwały,
więc czemu czoło twoje chmurze?
Czy myślisz, panie podchorąży,
że to nie wszystko, że to — nie To...
że chciałbyś ludziom ponieść wić,
pokazać, jak słonecznie żyć;
że chciałbyś spełnić swoje sny
i Dobro wynieść ponad Zło.
Prawda!
masz tylko dwadzieścia lat

i w myślach inny, lepszy świat,
i tak byś chciał w tym świecie być
nie tylko snami...
W tej najdumniejszej walki dni
Ty myślisz, panie podchorąży,
czy zdązysz...
czy zdązysz, bo przecież
tu...!
na twej barykadzie
w każdej sekundzie się kładzie
chłód śmierci.
Bo tu szrapnele
i granaty,
i pociski,
i jeszcze Bóg to wie...
a ty?
Ty tylko k — ka — bel
...tylko z ka — be
i jeszcze myśl twą wierci
świadomość,
że tylko dwanaście naboí.
Cóż to?
w oczach masz dziwne blaski,
poblądłeś, panie podchorąży,
pan podchorąży się boi...?
...Modlisz się, panie podchorąży,
by sprawił Bóg miłosierny,
by nie zawiodło cię oko
i nie zadrżała ręka,
by każdy twój strzał był celny,
bo te dwanaście naboí
to twoja zemsta
za te pięć lat,
za hańbę i niewolę,

za twój zdeptany świat,
za łzy, cierpienia i bóle,
za Pawiak,
za Majdanek,
za egzekucję na ulicach,
za ohydę łapanek,
za potworne ogrodu sejmowego tajem-
[nice,

za wszystkich rozstrzelanych
i powieszonych,
i za torturowanych
w Alei Suchoa,
i bitych w twarz.
Masz za co mścić się,
panie podchorąży,
masz!
Niech chłodna karabinu stał
skrzepi ci ducha,
a gdy ich zoczysz,
celnie pall
Pamiętaj!
dwunastu Niemców drzy,
dwunastu Niemców się boił
twoich dwunastu naboil
Strzelałeś celnie raz po raz,
dwanaście razy trysła krew,
a teraz co?
A teraz co?
I mówisz, chłopcze, że to nie wszystko,
że to jeszcze — nie To...
że w sercu ciągle ten sam zew

za krew brać krew...!
Został ci jeszcze jeden granat
i w głowie dziwna myśl,
nieznana!
Pan podchorąży się uśmiecha
— jeden granat...
pan podchorąży drwi?
i twarz twoja, chłopcze, dziwnie
[blada —
co to?
pan podchorąży pada?...
spod hełmu cienka strużka krwi —
I myśl ostatnia,
tryumfalna,
nieznana,
ostatni granat!
A przecież wiesz już, panie podcho-
[raży,
żeś zdążył,
bo ci słoneczne światy lśnią,
aż na twej barykadzie
słoneczny blask się kładzie.
Spokój masz w sercu, panie podcho-
[raży,
boś się zapoznał z tymi światami
nie tylko snami,
ale krwią.

(Wiersz pisany podczas obrony Sta-
rówki przez Z. Chałko • Cyganiewicza
przysłał I.R.K.)

Przed zjazdem Starszego Harcerstwa

W pierwszym tygodniu sierpnia rb. odbędzie się Zjazd Starszego Harcerstwa. W warunkach, kiedy kontakty pomiędzy rozrzuconymi wszcz i wzdłuż Europy jednostkami muszą z konieczności ograniczać się do sporadycznych, mniej lub więcej przypadkowych spotkań i zebrań, Zjazd nabiera szczególnej wagi. Musi on stać się sprawdzianem naszej pracy. Musi on uświadomić wszystkim tym, którzy

wzwać w nim udział i pośrednio zerrorokim kołom Starszych Harcerzy i Starszych Harcerek, jedność naszych poglądów i zamierzeń. Musi on wzmocnić naszą strukturę organizacyjną i wskazać kierunki dalszej pracy.

Sądzę, że już najwyższy czas, żeby zastanowić się najpierw nad doбором zagadnień, które na Zjeździe będą szczególnie interesowały, a następnie przedyskutować poszczególne proble-

my, co w ogromnej mierze ułatwi i uprości pracę na miejscu.

Do rzędu zagadnień zasadniczych, które powinny znaleźć się w programie Zjazdu, zaliczyłbym przede wszystkim przyjęcie regulaminu wewnętrznego Organizacji, w którego ramach musi znaleźć rozwiązanie zarówno sprawa stopni, jak też stosunku Organizacji Starszego Harcerstwa do Władz Naczelnych Z.H.P.

Sytuacja dotychczasowa nie da się utrzymać, choćby z tego powodu, że musi ulec zmianie struktura organizacyjna i ustroj władz Starszego Harcerstwa. Regulamin powinien przewidzieć „społecznienie” ustroju władz na wszystkich szczeblach. Stan obecny, gdzie Kierownika Kręgu wybierają jego członkowie, natomiast Komendant Chorągwi jest mianowany przez Kierownika Starszego Harcerstwa, który sam nie posiada bezpośredniego mandatu od członków Organizacji, jest nie do przyjęcia na dłuższą metę. Chyba, że uznamy, iż Starsze Harcerstwo ma grupować po prostu starszynek Organizacji Harcerek i Harcerzy, co byłoby jednak równoznaczne ze ścieśnieniem zakresu naszego działania.

Poza regulaminem należałoby na Zjeździe omówić różne sprawy organizacyjne, spośród których dwie wysuwają się na plan pierwszy: zagadnienie gospodarki wewnętrznej Starszego Harcerstwa i problem wydawniczy.

Pierwsza obraca się dokoła konieczności doprowadzenia do samowystarczalności finansowej Starszego Harcerstwa. Łączy się z tym w dużej mierze problem wydawniczy, który można streścić w dwóch punktach:

- 1 — fiasko Funduszu Wyd. St. Harc. a zatem „Watry”,
- 2 — pilna potrzeba pisma reprezentującego nie tylko „fachową” stronę naszego życia, ale także nasz program, nasz pogląd na świat, nasze dążenia na szerszej płaszczyźnie życia publicznego.

I tutaj dochodzimy do trzeciego zagadnienia, którym Zjazd powinien się zainteresować: sprawy programowe. Nie sądzę, żeby było celowym ogarnianiem całości programu. Należy skoncentrować się na najważniejszym jego dziale, a tym jest, w moim przekonaniu, Służba Publiczna Starszego Harcerstwa.

Starszoharcerski ośrodek londyński poświęca obecnie wiele czasu zagadnieniu Międzymorza. Członkowie obu tutejszych Kręgów są czynnie zaangażowani w prace organizacyjnych federalnego ruchu młodych. Czy nie byłoby rzeczą pożądaną ściągnięcie na nasz Zjazd przedstawicieli innych narodów Międzymorza i poświęcenie nawet całego dnia na wspólne przedyskutowanie zagadnienia? Nie wątpię, że delegaci nasi, przybyli z Niemiec, mieliby na podstawie swoich doświadczeń w obozach D. P. i innych kontaktów szereg ciekawych na ten temat uwag.

Niewątpliwie powyższe zagadnienia nie wyczerpują pilnych i ważnych problemów, z którymi stykamy się w naszej pracy. Spróbujmy wspólnym wysiłkiem na gościnnym łamach „Naszego Życia” problemy te sformułować i naświetlić. Im więcej powiemy na ten temat przed Zjazdem, tym lepiej będziemy przygotowani do powzięcia decyzji, które nas tam czekają.

Kazimierz Łukomski.

18) WŁASNOŚCI FIZYCZNE GWIAZD

Wyznaczenie elementów orbity związane jest jednak z założeniem jej kształtu. Większość układów ma orbity kołowe lub eliptyczne słabo spłaszczone, spotyka się jednak również i orbity o znacznym mimośrodku. W pierwszym wypadku orbita kołowa będzie z dobrym przybliżeniem zadość czyniła obserwacjom, w drugim — trzeba eliptyczność uwzględnić, co utrudnia zadanie. Kształt orbity można poznać z krzywej blasku: odstęp pomiędzy minimummi różni się od połowy okresu obiegu składników.

W wypadku gwiazd silnie spłaszczonych najpierw z krzywej blasku wyznacza się spłaszczenie składników, które przyjmuje się za jednakowe dla obu gwiazd, a następnie sprowadza się krzywą do wypadku dwu gwiazd kulistych i z niej wyznacza elementy układu.

Rys. 12. przedstawia układ Algola w odpowiedniej skali, a rys. 13. układ bety Lyrae.

Stosunek średnic może przyjmować wartości bardzo różne: od 1 aż do 1/500 (u dzety Aurigae), czyli tym razem mamy do czynienia z olbrzymem, dookoła którego krąży mała gwiazda. Zresztą tego rodzaju pary należą do wyjątków i pod względem typów widmowych składników, które bardzo różnią się od siebie.

Kąt nachylenia orbity odchyła się nieznacznie od 90°, minimalna jego wartość jest uwarunkowana stosunkiem wymiarów orbity do średnic składników.

Ten ostatni stosunek jest również miarodajny dla spłaszczenia składników: im bardziej dwie gwiazdy są do siebie zbliżone, tym silniejsze są oddziaływania pomiędzy nimi, czyli ciśniejsze pary są silniej spłaszczone.

Kształt elipsoidy obrotowej, który przypisujemy gwiazdom, ma na celu ułatwienie rachunków, w rzeczywistości może się on znacznie od niej różnić: gwiazdy mogą przybierać kształt gruszkowaty o cieńszych końcach zwróconych ku sobie, wreszcie, jeżeli orbita jest eliptyczna, kształt ten będzie w każdej chwili inny.

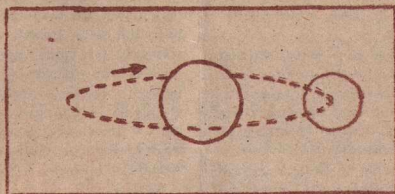
Z tego, co powiedziano, widzimy, że zjawiska mechaniczne, zachodzące w ciasnych parach gwiazd, są bardzo złożone, ale jednocześnie bardzo ważne, bo pozwalające wejrzeć głębiej w warunki panujące w układach gwiazd.

Jeżeli uwzględnimy figurę składników, to tym samym będziemy musieli porzucić hipotezę ich ruchu eliptycznego: stanie się on znacznie bardziej złożonym, a same składniki będą oprócz ruchu orbitalnego, wykonywały wahania (libracje) dookoła prostej łączącej ich środki. Wahania tego rodzaju wykryto w układzie bety Lyrae.

Przy dokładniejszych obserwacjach fotometrycznych występują na krzywej blasku również inne zjawiska, z których wspomniemy tu o efekcie fazy. Polega on na tym, że oba składniki układu oświetlają się nawzajem, co uwydatnia się najlepiej w czasie zaćmienia gwiazdy większej, mniej jasnej, przez najmniejszą (min. wtórne); krzywa w tym miejscu przebiega nie poziomo, a wznosi się nieco po obu stronach tego minimum. Liczbowo efekt ten daje się wyznaczyć z krzywej blasku, teoretyczne jednak ujęcia go nie dały zadawalniających rezultatów.

Wspomnieliśmy już, że wymiary absolutne układu można wyznaczyć z pomiarów prędkości radialnych, jak również i masy, oczywiście w wypadku, gdy widma obu składników są widoczne. W niektórych wypadkach tru-

do jednak orzec, czy linie należą do widma jednego ze składników, czy też do atmosfery otaczającej układ. Krzywa prędkości radialnych w sąsiedztwie minimum blasku daje również moż-



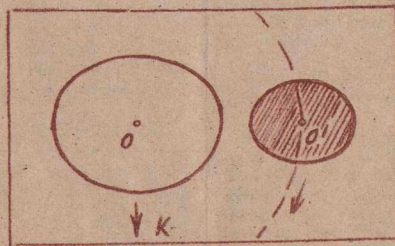
Rys. 12. Układ Algola widziany z Ziemi.

Promień orbity względnej wynosi 10.5 mil. km.

Średnica większej gwiazdy 5.7 mil. km (4.1 średnicy Słońca).

Masa 4.6 mas Słońca. Jasność 100 razy większa od jasności Słońca.

Średnica mniejszej gwiazdy 4 mil. km, masa równa masie Słońca, jasność mniejsza od jasności gwiazdy większej. Nachylenie orbity: $i = 88^\circ$. Odległość układu 96 lat świetlnych.



Rys. 13. Układ bety Lyrae (rzut na płaszczyznę orbity). Przekroje prostopadłe do prostej 00 są kołami o promieniu równym mniejszej osi elipsy przedstawiającej zarys każdego ze składników.

Jeżeli obserwator znajduje się w kierunku K , to w miarę ruchu 0 ku obserwatorowi obie elipsy będą wydawały się coraz mniej spłaszczone, a w chwili zaćmienia maksymalnego będą się przedstawiały w postaci kół.

W niektórych wypadkach trudno jednak orzec, czy linie należą do widma jednego ze składników, czy też do atmosfery otaczającej układ. Krzywa prędkości radialnych w sąsiedztwie minimum blasku daje również moż-

no jednak orzec, czy linie należą do widma jednego ze składników, czy też do atmosfery otaczającej układ. Krzywa prędkości radialnych w sąsiedztwie minimum blasku daje również moż-

ność wyznaczenia prędkości obrotowej składników. Rzecz jasna, że obserwacje muszą być w tym wypadku bardzo dokładne.

Mając wyznaczone masy, lub też przyjmując ich wartości prawdopodobne, możemy obliczyć średnie gęstości składników, które stanowią niezmiennie cenne dane! Gęstości te wahają się w szerokich granicach.

Widzimy zatem, że badanie gwiazd zmiennych zaćmieniowych może do-

starczyć bardzo ważnych danych, dotyczących warunków fizycznych na dalekich słońcach w sposób bardziej bezpośredni, niż w innych wypadkach, w szczególności przy pomocy gwiazd podwójnych wizualnych i spektroskopowych. Jeżeli zaś weźmiemy pod uwagę i te rodzaje gwiazd, to będziemy w możności wyciągnąć szereg wniosków dotyczących ewolucji tego rodzaju układów.

S. L.

O czystość mowy polskiej

Wiemy, jak zaszczytną rolę spełniają w społeczeństwie pisarze i poeci. Ile pięknych pereł przysparzają literaturze ojczyźnie. Cóż z tego, że praca ich jest tak chwalebna i pożyteczna, jest ich jednak tak mało w porównaniu z wielką liczbą tych, którzy mówią naszą szpecą, wypaczają, brudzą obcymi naleciałościami. Pomyślny, co stanie się z naszym językiem — zostanie mieszaniną barbarzyzmów.

Co gorsze w tej całej sprawie, że starsze społeczeństwo wcale na to nie zwraca uwagi, rodzice nie biorą sobie do serca, że ich dzieci zamiast czystego polskiego języka uczą się jakiejś namiastki. A co będzie, gdy wyjedziemy z Niemiec, gdy rozproszymy się w obcym społeczeństwie, gdzie b. często nie będzie polskiej szkoły czy kościoła, a rodzice nie pomyślą o tym. Jest więc obawa szybkiego wynarodowienia się młodzieży.

Nie znając dokładnie własnego języka, nie nauczywszy się dostatecznie obcego języka, czym zostaną ci młodzi ludzie? Białymi murzynami, wołami roboczymi? Z tego musimy zdać sobie sprawę.

Oto odcinek wojny, którą Hitler wygrał — zdemoralizowanie, wynaradawianie młodzieży.

Przypatrmy się, jakiego słownika używa nasza młodzież, ile barbarzyzmów, naleciałości niemieckich: „biksa, kiejza, kuchy, kista, zasałtaować, glancować, fajne” itp.

Oto wyrażenia w codziennym użytku!

„Sory jezdem” — lub inne tego rodzaju — Głupi jesteś! Jeżeli używasz tego rodzaju obcych zwrotów, to wcale nie wygląda tak ładnie, jak ci się wydaje. Czy nie można tych wszystkich zwrotów zamienić na polskie słowa, są o wiele piękniejsze, brzmią ładniej. I niech mi nikt nie mówi — każde obce wyrażenie nawet w słowniku technicznym ma swój polski odpowiednik, nie potrzebujemy używać do naszyn czy narzędzi niemieckich barbarzyzmów, gdyż po polsku nazywają się one o wiele praktycznie.

Nie wiem, czy jest to wszędzie, ale w moim obozie jest tablica, gdzie zamieszcza się anonse. Każdy ogłasza,

.. (dokończenie na str. 14)

NAMIOT KULTURALNO-LITERACKI

ustawia Koliber.

W rocznicę Powstania Warszawskiego

NIEZWYCIĘŻENI

(Wstęp z pamiętników Gen. T. Bora-Komorowskiego)

„STORM” zrywa się.

„Polacy, godzina wolności wybiła! „Polacy, do bronii! Uczyńcie każdy dom twierdzą w walec przeciw najeźdźcy. Nie ma czasu do stracenia!”

Ten bezpośredni apel do wszczęcia zbrojnej akcji w Polsce, noszący podpis Komisarza Mołotowa razem z podpisem Osóbki — Morawskiego, powołanego w Moskwie Szefa Komitetu Wyzwolenia Narodowego, został rozplakatowany przez Rosję z końcem czerwca 1944 r. wskazując na to właśnie, że nadciągał atak Czerwonej Armii na Warszawę.

Z drugiej strony nie miałoby celu podrywanie ludności do akcji, która w razie nieoparcia na pewno doprowadziłaby do rzezi bez pożytku dla dalszych postępów Rosji.

Dnia 30 lipca jeden z naszych oficerów wywiadu spotkał w Radości — około 10 mil od Warszawy — sowiecką kolumnę czołgów, widocznie silny patrol. Rozmawiał on z rosyjskimi oficerami, którzy spodziewali się być na pewno w Warszawie w ciągu najbliższych kilku dni. Ze skraju Pragi, przedmieścia Warszawy, na wschodnim brzegu Wisły, nasze posterunki informacyjne wysyłały ciągły potok meldunków o swych spotkaniach patroli rosyjskich blisko, a nawet na krawędzi

miasta. Na jednym przedmieściu, Legionowo, niemieckie oddziały opuściły swe baraki w panice. Jednostki Armii Krajowej powychodziły otwarcie na światło dzienne, zabierając broń i wyposażenie, jakie one pozostawiły.

Następnego dnia, 31 lipca, sowiecki komunikat wojenny podał, że oddziały rosyjskie wzięły do niewoli dowódcę niemieckiej 73 dywizji, która broń niła Pragi. W tymże dniu dowiedzieliśmy się z radia, że Mikołajczyk, Prezes Rady Ministrów naszego Rządu na wygnaniu w Londynie, opuścił Londyn, udając się do Moskwy. To była najlepsza z wiadomości. Rząd sowiecki zerwał stosunki dyplomatyczne z Rządem Polskim w kwietniu 1943 r. i odtąd nie byliśmy w stanie nawiązać tych stosunków, ani też uzgodnić naszych wojskowych poczynań z akcją Armii Czerwonej. Obecnie w Moskwie Premier ma możliwość uzgodnienia akcji wojennej Czerwonej Armii z naszą Armią Krajową, nasze zaś działa, nie wojenne w Warszawie w tymże czasie pomogłyby mu w odnowieniu stosunków pomiędzy Rządami.

Tegoż popołudnia stwierdziliśmy, że były w trakcie ruchy Czerwonej Armii, zmierzające do okrążenia Warszawy od strony północnej. Na północ

nym wschodzie walczyła niemiecka 2 Armia, zaopatrywana poprzez Warszawę. Na Pradze jedyna pozostałość niemiecka należała do 73 dywizji. Dywizja Hermana Göringa nadciągała dla wzmocnienia niemieckich sił na Pradze, lecz główny jej oddział był jeszcze w marszu przez Warszawę.

Wzwałem niezwłocznie Delegata Rządu, wicepremiera Jankowskiego, i krótko przedstawiłem mu sytuację. Akcja Armii Krajowej w Warszawie w tym momencie mogłaby zamienić niemiecką porażkę w całkowitą klęskę. Przeszkodziłaby Niemcom we wzmocnieniu ich 75 dywizji przed Pragą i odcięciałby linie dostaw dla ich oddziałów na całym froncie przed Warszawą, zapewniając Rosjanom łatwy sukces w ich ruchach okrążających od wschodu, północno-wschodu i północy, właśnie zaczynających się.

Te wszystkie względy nakazywały, że powinniśmy działać teraz. Podczas, gdy sowiecka propaganda wykazywała ponad wszelką wątpliwość, że Moskwa życzy sobie natychmiastowej akcji zbrojnej w Warszawie, byliśmy niezdolni do ustalenia współdziałania z dowództwem Czerwonej Armii i nie znaleźliśmy jeszcze wyniku misji Mikołajczyka w Moskwie.

Przyjawszy, że nasze pierwsze uderzenie wywie Niemcom kontrolę miasta, mieliśmy broni i żywności na utrzymanie go nie dłużej, niż na przeciąg czterech do pięciu dni — najwyższe siedmiu. Bez wątpienia nasi Alianci przysłałby dostawy samolotami, lecz nie wiedzieliśmy, w jakich ilościach. Tak dalece, jak mogliśmy przewidzieć, sukcesy nasze zależały od niezaczyniania zbyt wczesnie. Czerwona Armia musi wejść do Warszawy w przeciągu tygodnia od chwili pierwszego wystrzału.

Pan Jankowski wysłuchał mnie i następnie postawił kilka pytań różnym członkom sztabu. Ustaliwszy w ten sposób właściwy obraz sytuacji, zwrócił się do mnie słowami:

— A więc dobrze, zaczynamy.

Zwróciłem się do pułkownika Montera, komendanta Warszawy w Armii Krajowej.

— Jutro, punktualnie o 17^{ej} zacznie pan akcję „STROM” w Warszawie.

Wyznaczyłem właśnie godzinę piątą po południu po wielu rozważaniach. O piątej ruch miejski był największy, gdyż ludzie wracali z pracy do domu i nasze jednostki, udające się na wyznaczone punkty, w śpieszącym się tłumie niewiele mogłyby podpaść. Również, jeśli zaczniemy o piątą, możemy mieć parę godzin światła dziennego, w czasie których możemy zdobyć niemieckie pozycje przed zapadnięciem nocy.

Nazajutrz w drodze na zebranie tajnego sztabu przechodziłem ulicami przepelnionymi tysiącami młodych mężczyzn i kobiet, śpieszących na wyznaczone posterunki. Wielu miało żołnierskie długie buty, peleryny i plecaki. Niemal każdy miał worek, torbę meldunkową lub grubą pakunec. Kieszonki płaszczy, wypchane ręcznymi granatami, osłaniały nie umiejący się ukryć przed moimi oczyma karabiny czy automaty. Chociaż wiedziałem, że tylko wtajemniczony może zauważyć te rzeczy, nie mogłem opędzić się niesłusznej obawy. Mijałem niemieckie patrole prawie co krok, a auta pancerne nieprzerwanie jeździły ulicami.

Chociaż żołnierze Armii Krajowej byli, oczywiście, jedynie normalnymi przechodniami, mieszał się z tłumem cywilów na ulicach i wchodzili na swe

posterunki tylko pojedynczo lub małymi grupkami.

Domy zostały starannie wybrane, zgodnie z planem. Większość z nich były to domy narożne, położone strategicznie, na przecięciu się ważniejszych ulic, stacje kolejowe, niemieckie koszar, centra zaopatrzenia, przedsiębiorstwa użyteczności publicznej, słowem tak, by wszystkie te punkty mogły być zajęte w pierwszym uderzeniu.

Zadaniem żołnierzy było otoczyć tron miastka. Wręczali przeto mieszkańcom rozkaz rekwizycji, podpisany przez dowództwo Armii Krajowej, „Ludność wykazywała podniecenie, lecz nigdy nie czyniła najmniejszego sprzeciwu; niezmiennie byli chętni do pomocy w każdej sytuacji, widząc, jak ludzie zajmują stanowiska u okien, na strychach, na dachach. Strażnik nie pozwalał nikomu wychodzić, by przez brak ostrożności nie zdradzić wrogich przygotowań.

Żołnierze natoczyli na rękawy białoczerwone opaski, pierwszy widomy znak polskiej armii pod polskim niebem od początku okupacji. Od pięciu lat oczekiwali tego momentu. Obecnie muszą czekać jeszcze tych kilka ostatnich minut. O piątej godzinie mogą przerwać swój byt jako organizacja podziemna, stając się bardziej regularną armią, walczącą otwarcie.

Punktualnie o piątą godzinie tysiące okien gwałtownie otwartych zabytnęło ogniem. Ze wszystkich stron posypały się kule na niemieckie posterunki i oddziały maszerujące dołem. Cywile pouciekali z ulic, Armia Krajowa ruszyła ze swych stanowisk i skoczyła do ataku. W 15-u minutach całe milionowe miasto pochłonięte zostało walką. Stał się ruch uliczny, ko-

lejowy i pieszy. Warszawa przestała istnieć jako życiowy ośrodek dla niemieckiego frontu. Walka o Warszawę była w toku.

(Tłumaczenie z „The Reader's Digest”, February 1946 Bolesława Peplińskiego).

PALCEM

PO PŁÓTNIE

MAPA

Obudźmy się i wyjdźmy przed namiot. Już świta. Oto przez nasz ciemną i niespokojną wiatr nawiał piaszczyna na płótno. Gruba jego warstwa pokrywa cały namiot. Patrzcie, jak łatwo kreśli się teraz na tym piaszczystym namiocie rozmaite wzory. Tu przeprowadźmy powyginaną linię, — o tak — aż się nam zamknie w obwodzie. Wewnątrz postawimy parę kropek, kilka kresek, a poprzez tę krętą ściętyną rzucimy parę prostych, jak strzelił. Cóż to nam wyszedł za rysunek?

To jest mapa.

O, tu, ta kropka — to Warszawa, a ta — to Kraków, a ta jeszcze dalej — Lwów, a tu wyżej — to Wilno.

Widocznie nie palcem kreśliłmy tę linię na płótnie, piaskiem przysypałym, widocznie rysowane one były sercem. Serce... Śmieszne słowo, prawda? Wyświechtany, spracowany rekwizyt czasów romantycznych... Dzisiejszy, nowoczesny młody człowiek nie ma serca — ma tylko mózg i silną wolę, czy tak? Tak zdaje się wierzyć wielu młodych ludzi; sądzą oni, że serce w twardej nowoczesnym świecie na nic się przydać nie może, jest to pro-

stu taka maszynka, która odmierza w naszych piersiach życie...

Ale jednak, jednak wodząc palcem po płótnie, narysowaliśmy mapę Polski. Może teraz właśnie szkic ten jest nam bardzo potrzebny? Teraz, kiedy snujemy plany na tematy zamorskich podróży, kiedy marzymy o urządzeniu sobie życia w innych krajach, pełnych zawsze dobrej pogody...

Każdy z nas na siatkówce swoich oczu utrwalony ma na zawsze obraz jakiejś najpiękniejszej chaty, kamienicy albo ulicy, albo krzyża przydrożnego, albo też ogródka. Dla każdego z nas Polska to jedno miasto lub wioska, a ojczyzna składa się z wiosek i miast, dlatego też każdy z nas osobno nie tworzy ojczyzny, dopiero wszyscy razem ją stanowimy. Spójrzmy na tę nieudolną mapę, która nam się sama narysowała, na ten wycinek świata, na skrawek dla nas najdroższy. Przyjrzyjmy mu się dobrze.

W puszczech Kanady, wśród nowych ludzi na pewno przyjdzie nam kiedyś boleśnie wspomnieć te małe, pozornie nic nie znaczące punkciki, o — tę kropkę, to Warszawa, a tu — to Kraków, a tu jeszcze dalej — Lwów, a tam u góry to Wilno... I Tarnów, Hrubieszów, Ostrów, Ostrołęka, Krynica, Kobylka, Brzeżany... I sto miast i tysiąc wsi...

Jakież miejsce w naszych zamierze-

niach i planach zajmują te paski, przecinki i kreski? Czy zastanawiamy się nad Polską, która jest skrawkiem pola, kominem rodzinnego domu, czy oknem, przy którym nam minęło dzieciństwo? Czy wystarczy to, że będzie nam kiedyś dobrze, ciepło i bezpiecznie? Czy wrócimy kiedyś i jacy wrócimy? Powraca przecież nawet bocian, bezmyślny ptak powraca na swoje gniazdo, a przecież mógłby pozostać w Egipcie, gdzie zawsze jest tak ciepło...

Oto już słońce jest coraz wyżej. Piasek, nawiany w nocy, zaczyna się osuwać po płótnie. Czy pozwolimy na to, żeby nowy dzień zacierał nam naszą mapę, a żeby niszczył ją? Patrzcie, oto za chwilę wszystko zniknie, zatrą się te wszystkie znaki, te znaki tajemne, które przy naszym udziale muszą kiedyś urastać z wiosek w miasteczka, z miasteczek w miasta, a z miast w ojczyznę?

Zamknijmy oczy, sprawdźmy, czy pamiętamy mapę, czy rozumiemy, co ona oznacza.

Patrzcie, płótno jest znowu gładkie, piasek znikł i znikła mapa. Ale zostanie ona w nas na zawsze, właśnie w naszym sercu, niczym wyryta rozpalsym żelazem.

Na trawie śpi rosa, ale nie wolno nam pomyśleć, że jest podobna do tej.

Pismo to, zwane obrazkowym, znali już podobno dawni Meksykanie. Pewien krok naprzód przy jego udoskonalaniu uczynili Chińczycy i Egipcjanie, którzy do pewnych obrazków zaczęli przywiązywać także symboliczne znaczenie. Zmiana ta pozwoliła im oddać na oznaczanie w piśmie nie tylko rzeczy konkretnych, zmysłowych, ale i na wyrażanie różnych oderwanych pojęć i myśli. Tak np. lew mógł oznaczać nie tylko samego lwa, ale i siłę; włócznia i miecz — wojnę; oko — czujność itp.

Inną zdobyczą Egipcjan było to, że odczytywali oni rysunki także według brzmienia nazw rzeczy, jakie one przedstawiały. Stąd niekiedy z dwu lub kilku obrazków mógł składać się jeden wyraz. Dziś czasem układa się z obrazków podobne napisy; są to tzw. rebusy. Tak np. myśl o tym, że „jaskółka ulepiła gniazdko“ można by wyrazić pismem obrazkowym, rysując jaskółkę, kilka uli, piłę do pilowania drzewa, wreszcie gniazdko. Dwa środkowe obrazki (ule i piła) dałyby razem wyraz, wyrażając czynność „ulepiła“.

Z czasem Egipcjanie, dla oszczędności czasu, zamiast dokładnych rysunków, zaczęli używać prostszych znaków, pochodzących od dawnych rysunków. Znaki te coraz mniej były podobne do obrazków rzeczy, od których wzięły początek. Powoli prawie wszystkie dawne obrazki zamieniły się w takie prostsze znaki, zwane hieroglifami. W ten sposób Egipcjanie utworowali drogę do stworzenia pisma, którym się dotąd posługujemy.

Udoskonalone pismo obrazkowe Egipcjan poznali sta-ojzynie Fenicjanie, mieszkający w Azji nad brzegiem morza Śródziemnego, a przerabiając je i

przystosowując do swego użytku, dokonali wielkiego wynalazku.

Wiadomo, że człowiek, wymawiając najrozmaitsze wyrazy, powtarza te same dźwięki. Słów w ludzkiej mowie jest nieprzebrane mnóstwo, ale dźwięków niewiele: różne zestawienie i łączenie tych samych dźwięków umożliwia powstanie coraz to nowych wyrazów. Np. weźmy wyrazy: „Kto“, „kot“, „tok“; we wszystkich tych trzech różnych wyrazach są te same trzy proste dźwięki: k, o, t — tylko w każdym inaczej ustawione.

Otóż podobno Fenicjanie pierwsi to zauważyli i zrozumieli, że najlepiej obmyślić i ustalić znaki według pojedynczych najprostszych dźwięków, z jakich składa się mowa. Zliczyli, ile dźwięków wymawiają i każdy oznaczył osobnym znakiem. W ten sposób powstało abecadło, czyli litery: a, b, c, d, e, f itd. Było to pierwsze abecadło na świecie. Nie wiadomo dokładnie, kiedy je ułożono, ale to pewnie, że na parę tysięcy lat przed nami.

Długi proces rozwojowy wielu narodów poprzedził powstanie naszesztukowego pisania, opartej na genialnym wynalazku alfabetu dźwiękowego.

Genialność tego wynalazku polega przede wszystkim, jakto już było zaznaczone wyżej, na spostrzeżeniu, że mowa nasza składa się z niewielkiej ilości prostych dźwięków, tzw. głosek (samogłosek i spółgłosek), a następnie na wyodrębnieniu tych dźwięków i oznaczeniu ich oddzielnymi znakami, tzw. literami. Litery te, używane w różnych zestawieniach i kombinacjach, pozwalają nam wyrazić dokładnie w piśmie wszystko to, co możemy pomyśleć i wypowiedzieć. Dwa-dziesiącia kilku liter wystarczyła nam dziś do napisania każdego słowa i wyraże-

A. Potocki

Jak ludzie nauczyli się pisać

(dokończenie)

Na pomnikach dawnych Egipcjan zachowały się po dziś dzień obrazki sprzed wielu tysięcy lat. Od dawna domyślano się, że te obrazki to pewnie jakież napisy. Długi bardzo czas nie

umiano jednak odczytać; wielu na próżno nad nimi łamało sobie głowy. Wreszcie po długich badaniach, przed około stu laty, zdołano dociec, co oznaczają egipskie napisy.

nia każdej myśli. Dziesięć innych znaków, zwanych cyframi, umożliwiała nam szybkie i łatwe wyrażenie na piśmie każdej dowolnej liczby.

Można mieć wątpliwości, czy istotnie pierwsi na świecie Fenicjanie stworzyli alfabet dźwiękowy; co jest jednak pewne, to to, że Fenicjanie znali już ten alfabet i posługiwali się nim, a jako naród kupiecki przyczynił się w każdym razie pierwszy do jego rozpowszechnienia. Przez ich pośrednictwo alfabet ze wschodu przeszedł do Greków, ci przekazali go Rzymianom, od których przeszedł do wszystkich ludów cywilizowanych.

Pisanie liczb przy pomocy osobnych znaków znane już było ludom starożytnym. Przez długi czas oznaczano

je jednak przy pomocy liter. Używane dzisiaj przez nas cyfry 0, 1, 2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9 pochodzą z Indii, rozpowszechnione one zostały w Europie w wiekach średnich przez Arabów.

Nowością tego systemu było wprowadzenie do rachunku cyfry „0”. Cyfra ta pozwala nam dziś zapisywać w sposób niezmiernie łatwy, krótki i szybki każdą dowolną wielką liczbę. Jej to zawdzięcza swe ugruntowanie i rozpowszechnienie obecny system liczenia dziesiętnego. Dzięki niemu mógł rozwinąć się rachunek piśmienny. Wzależnie zera stanowi bardzo doniośle wydarzenie w dziejach rozwoju matematyki.

(„Książka dla wszystkich”).

O czystość mowy polskiej

(dokończenie ze str. 8).

co ma na sprzedaż. Oto kopalna materiału dowodowego: „Som biksy barsorskie na sprzedasz”. „Jest monka”, „Ogurki zmarnowane na sprzedasz”. „Hafafłoki, radiski”.

Nieskończona ilość tym podobnych wyrażen. O czym to świadczy? Z jednej strony zatrwające, z drugiej oszaniejące nas jako emigrację polityczną.

Pobyt swój na emigracji każdy tłumaczy względami politycznymi, ale większość tych „politycznych emigrantów” zapomina, że ich pierwszym obowiązkiem jest zachować czystość mowy ojczystej i w czystym ojczystym języku nauczyć paćerza swe dzieci. Jak będzie wyglądał taki „polityczny” emigrant, gdy znajdzie się np. w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej między Polakami, którzy urodzili się i wychowali w Ameryce, i nieje-

den z nich więcej wie o Polsce i lepiej umie po polsku, niż nasz „polityczny” emigrant z Niemiec.

Otrzymuję listy od młodzieży polskiej z Ameryki, która urodziła się tam, chodzi do szkoły amerykańskiej, ale prosię przeczytać taki list: „...jest moim największym szczęściem, że mogę mówić i pisać w najpiękniejszym języku — po polsku. Urodziłem się w Ameryce i nigdy nie widziałem Polski, znam ją tylko z opowiadań mego ojca, chciałbym tam kiedyś pojechać...” itd.

W czystym polskim języku bez żadnych barbarzyzmów!

Jak z tego widać, rodzice tego chłopca, którzy wyjechali w poszukiwaniu zarobku, zdali egzamin, nie byli wcale emigrantami politycznymi.

Czy będziemy mogli to samo powiedzieć o nas, o naszych „politycznych emigrantach”? Sądzę, że tylko w nielicznych wypadkach.

Może za surowo oceniam sytuację,

obserwując tylko małą grupę Polaków DP, nie mam obrazu całości w Niemczech, w każdym razie byłoby wskazane, aby Starsze Harcerstwo zwróciło na to baczną uwagę i starało się w miarę możliwości przyjść z pomocą społeczeństwu, zwalczając wszelkiego

rodzaju barbarzyzmy i wykroczenia przeciw czystości języka polskiego.

Doskonałe pole dla pracy społecznej Starszego Harcerstwa w dobrze zrozumianej służbie dla Polski.

„Sarmata”

Federacja na terenie Europy Środkowej

Federacja stała się nagle czymś modnym. W ostatnich tygodniach szpalty gazet europejskich, nie wyłączając polskich, wypełnione były sprawozdaniami z Kongresu Federalnego w Hadze. W sercach wielu Polaków Kongres w Hadze obudził nowe nadzieje na rychłą wolność dla utraconej Ojczyzny.

Czy był jednak Kongres Haski czymś więcej niż płaszczykiem umiejętności pokrywającym obronny sojusz wojskowy państw zachodnich pod egidą Anglii oraz pierwszą próbą wprowadzenia w świat „dobrych” Niemiec, bez których rozwiązania obronne Zachodu pozostać muszą czynnikiem frazesem? Czy nadzieje Polaków i innych narodów uciśnionych za żelazną kurtyną, że obrady i postanowienia Kongresu mogą przynieść im poprawę losu są uzasadnione? Wreszcie, czy jest możliwym powrót do niezależnego Państwa

Polskiego, jakie pamiętamy przed wrześniem 1939? To są pytania często nasuwające się i nielatwo jest dać na nie pozytywną odpowiedź.

Nie jest zadaniem tego artykułu ośmówienie Kongresu Haskiego; jakkolwiek mocno reklamowany, nie wiąże się on bezpośrednio z tokiem prac federalistów polskich. Należy natomiast zastanowić się nad dążeniami polskiej myśli federalnej i myśli federalnej narodów, z którymi geograficzne położenie, więzy historii i kultury, wspólny interes gospodarczy i wreszcie względy bezpieczeństwa predystynują nas do współpracy w tworzeniu federacji.

Wszystkie te myśli cechuje głęboka troska o jutro, wypływająca z doświadczeń lat ubiegłych, jak i zrozumienie przemian zachodzących w świecie.

Środkowo-Europejskie Kluby Federalne

Federaliści polscy, reprezentujący wiele kierunków politycznych, zgrupowali się dokoła Środkowo-Europejskich Klubów Federalnych i pracują na ich terenie wraz z reprezentantami 15 innych narodów Europy Środkowo-Wschodniej, dążąc do wytworzenia wspólnego organizmu państwowego

wsioch narodów. W potocznej mowie plany tej federacji przyjęły się pod nazwą „Miedzymorza” — Internarium, ponieważ narody, które miałyby wejść do projektowanego zespołu, zamieszkują obszary pomiędzy Adriatykiem, Bałtykiem i Morzem Czarnym, stąd też inna nazwa — narody „ABC”.

Dotychczas istnieją 4 Środkowo-Europejskie Kluby Federalne rozwijające ożywioną działalność, a mianowicie w Londynie, Paryżu, Rzymie i Brukseli. Trzy pierwsze powstały w czasie wojny, Klub w Brukseli po jej zakończeniu. Dalsze kluby powstaną, być może, w Argentynie, Stanach Zjednoczonych i Kanadzie.

Poszczególne członkowie wchodzi do Klubów tworząc niezależne grupy narodowe. Kluby można by porównać do Parlamentów, w których grupy narodowe przejęły rolę partii. W radach Klubów zasiadają przedstawiciele każdej z grup narodowych niezależnie od ilości członków danej grupy (podobieństwo do Senatu w Stanach Zjedn., gdzie każdy stan, duży czy mały, wysła równą ilość reprezentantów).

Wkład Polski

Inicjatywa utworzenia klubów wyszła ze środowiska polskiego w pierwszych latach wojny. Polskie tradycje federalne sięgają głęboko. Krótko przypomnieć tutaj można Unię Horodelską (1389) i Lubelską (1569), Władysława Warneńczyka, Żółkiewskiego oraz pracę Adama Czartoryskiego przed 100 laty. W Kraju, w czasie okupacji, rozumiano dobrze wagę problemów Międzymorza. W podziemnej Warszawie powstał „Instytut Środkowej Europy”, który oddał się badaniom zagadnień związanych z powstaniem większego organizmu państwowego na

Inne narody

Jakie grupy narodowe biorą poza Polską udział w pracach Klubów? Z północy — państwa bałtyckie, więc Estończycy, Łotysze i Litwini. Emigracje tych narodów wykazują duże zrozu-

mie. Idea federacji Międzymorza jest żywa — rozwija się i dojrzewa, a chociaż prace Klubów są niejednokrotnie bardzo utrudnione przez niedostępność środowisk emigracyjnych, brak środków i trudności komunikacyjne, to jednak mimo istnienia różnic w szczegółach praktycznego rozwiązania zagadnień federalnych — nie ma pomiędzy Klubami rozbieżności w głównych celach, a wszystkie wystąpienia zewnętrzne są zawsze wspólne. W hierarchii życia emigracyjnego Kluby nie zajmują oficjalnej pozycji, są jednak w ścisłym kontakcie z rządami emigracyjnymi lub kierownictwami poszczególnych grup narodowych, biorących udział w pracach Klubów.

tych terenach. O znaczeniu Instytutu i wadze, jaką przykładał do tych spraw, świadczy fakt, że kierownikiem Instytutu był ostatni Przewodniczący Krajowej Rady Narodowej. Program Instytutu został przyjęty przez wszystkie stronnictwa, reprezentowane w Radzie.

Jesteśmy najsilniejszą liczebnie emigracją, wśród której jest najwyższy odsetek ludzi z wyższym wykształceniem. Przed Polakami leży więc konieczność kontynuowania rzuconej inicjatywy i obowiązek największego wkładu do wspólnej szkatuły organizacyjnej.

mienie dla zagadnień federalnych. Estonięcycy byli Prezesami Klubów Londyńskiego i Rzymskiego, Łotysze jest Sekretarzem Generalnym Klubu Rzymskiego.

Ze wschodu: Białorusini i Ukraińcy. Z południa: Rumuni, Węgrzy, Słowacy, Cześć, Chorwaci, Słowency, Serbowie, Bułgarzy, Albańczycy. Austriacy biorą udział w pracach Klubu Londyńskiego.

Wymienione narody zamieszkują obszar pomiędzy Niemcami i Rosją wschodnią i to wyznacza delimitację granic lądowych Międzymorza. Rosja od dawna pracuje nad zatarciem granic etnograficznych, jak np. między Białorusinami i Wielkorusami i przesunięciem jej na zachód. Mówi się, że Mię-

dzymorze sięgać winno tak daleko na wschód, jak daleko sięga umiłowaność wolności osobistej i prawa własności. Chłop białoruski te pierwiastki głęboko przechowuje. Doktryna ta, chociaż może podlegać krytyce, przecież jest charakterystyczną cechą wszystkich obszarów Międzymorza w większości swej zamieszkałych przez ludność chłopską; płynię z przywiązania do ziemi i zachowanych wśród wiekowych zmagani pierwiastków chrześcijańskich tak z Rzymu jak i z Bizancjum.

Co nam dyktuje federacja?

Położenie geograficzne krajów Europy Środkowej pomiędzy zaborczością Rosji i Niemiec wysuwa palące problemy wspólnej obrony. W układzie stosunków z 1939 roku żadne z państw Europy Środkowej nie było w stanie przeciwstawić się skutecznie imperializmowi Moskwy czy Berlina. Jedynie organizm dorównujący liczebnie sąsiadom, zdolny do wytworzenia równego im potencjału przemysłowego, może samodzielnie przeciwstawić się zakusom na swą niezależność. Doświadczenia wojenne przy obecnym stanie techniki wykazały, że optimum organizmu państwowego musi zawierać około 80—100 milionów mieszkańców, aby móc o sobie stanąć.

Obok zagadnień bezpieczeństwa mniejsze organizmy skazane są na zależność

gospodarczą. W obszarze Międzymorza kraje północy i wschodu uzupełniają się z krajami południa. Międzymorze może rozwijać swój potencjał gospodarczy w oparciu o przemysł Czech, Śląska i Zagłębia Donieckiego, naftę Rumunii, rudy południa i pszenicę Ukrainy i Węgier.

Wreszcie w dziedzinie kultury, odgradziliśmy się murem chińskim od napadci i tworząc całkowitą samowystarczalność gospodarczą, małe organizmy są w dalszym ciągu skazane na zależność kulturalną i duchową. Film i radio nie znają granic — trzeba wytworzyć przeciwwagę w równej skali, aby móc zaspakajać potrzeby kulturalne nowoczesnego społeczeństwa. Tu znowu wyudatnia się przewaga dużego organizmu.

Trudności wykonania

Ziemie Międzymorza przesiąkły krwią bratnią. Czy jest możliwym zapobiec temu na przyszłość i zapomnieć o tragicznej przeszłości? Problem przed całym pokoleniem piętrzy się olbrzymi. Przerastać zdaje się jego możliwości.

Żyjąc jednak w epoce wielkich przemian, pokolenie nasze doczeka być może tej chwili, że z woli i czynem narodów zainteresowanych stanie się faktem wspólny organizm, który potrafi ostać się jako niezależna jednost-

ka nienarażona na kataklizmy, zapewniająca swobodny rozwój kulturalny i podnosząca poziom życia jednostki.

Do tego nie wystarczy militarna postać Rosji przed okrzepnięciem politycznym Niemiec. Czekając z założonymi rękoma, aż ktoś tę pracę wyko-

na, gorzko się zawiedziemy. Siłom politycznym, na które nieraz liczymy, nie zależy na naszej niepodległości i swobodnym naszym rozwoju. Los nasz i dobrobyt nie leży w naszym interesie — tylko nas samych.

„K. M.”

LISTY Z OBOZU

Czy wiecie, druhny i druhowie, kto jest najstraszniejszym tyranem na świecie? Na pewno nie zgadniecie. Co... Dariusz albo Kserkses...? O, nie, tak samo nie jest nim Nabuchodonozor, ca „batuszka” Mikołaj I, ani sultan Mahomet IV, no... nie chcę jednak nikogo męczyć wysilaniem swej domyślności i powiem sam. Największym tyranem świata jest każdy szef. Czy to będzie szef sztabu w wojsku, czy szef firmy, czy wreszcie... Szef Komendy Głównej ZHP w Niemczech — „Druhu” — rzekł on pewnego razu do mnie — pojedziecie w charakterze sprawozdawcy prasowego do obozu letniego w Köln. Próbowałem się „wymigać”, mrużąc coś o zmianie waluty, o tym, że nie będę miał tzw. po angielsku money na kolejkę... Szef machnął lekceważąco ręką i powiedział: „to pójście piechota! Cóż miał nieszczęsny referent robić? Westchnął tylko boleściwie, jakby go czekała operacja ślepej książki i „stulił uszy”, ale odszedł pełen tajemnej nadziei, że sprawa ta jakoś „przycichnie” i zdezaktualizuje się. Nie przycichła. Na trzeci dzień przyszedł lakoniczno-kategoryczny rozkaz... „Natychniast do Kolońia...!” Rozkaz, to dla harcerza rzecz święta, więc o godz. 19.00 we wtorek przyjąłem rozkaz do wiadomości, a o godz. 6.00 rano następnego dnia znajdowałem się już w pociągu pośpieszonym.

Pogoda nastraja raczej pesymistycznie. Silne zachmurzenie (cumulus) i inne tego rodzaju wrogie wyczasom letnim stwory zalegają niebo. W Düsseldorfie z pociechą nie miałem znaleźć już nieco lepszą pogodę, a później kilko... Köln — Mühlheim — Deutz — Hauptbahnhof. Powitały mnie żółte fale potężnego Renu i dwie strzeliste swym koronkowym gołykiem wieżycy tumu. Köln am Rhein, to najsympatyczniejsze miasto pod słońcem (aż wspomina się tam nieraz, że to niemiecki kraj). Każdy rasowy Kolończyk, to człowiek wesoły, uprzejmy, życzliwy. Jakaś Niemka, widząc mój mundur, oznaki i odznaki oraz kuse porteczki, pyta: „Was ist das für Gruppe...?” Gdy dowiedziała się, że to „Polnischer Pfadfinder”, rozplynęła się w uśmiechach i życzyła mi szczęścia i „alles gute”.

Przez ruchliwe ulice olbrzymiego miasta pomknąłem w kierunku stadionu (Müngersdorf). Około godz. 13 wkroczyłem „triumfalnie” na teren obozu. Komendant obozu, hm Wojtecki, powitał mnie serdecznie. Kto zna „Starego Wyżła”, ten zna też ten jego ojcowski stosunek w odniesieniu do wszystkich, którzy, jak ja, wyszli z jego szkoły.

Znajduję na obozie dawnych kolegów, poznaję sympatycznych — nowych. Sam obóz położony jest po przeciwnej stronie obozu złotowego

Chorągwi „Warta” z lipca 1946 roku, na łące, a raczej polanie leśnej „Jahnwiese”, na której niegdyś Hitler odbierał defiladę swych „niezwycięzonych zastępów”, a dziś mieści się w tym miejscu kaplica obozowa na znak panowania Kościoła Katolickiego. Dokoła obozu mieści się wielki rezerwat parkowo-leśny, w którym położony jest wspaniały stadion sportowy, baseny pływakie i tym podobne urządzenia sportowe najwyższej klasy. Obóz ma formę wielkiego czworoboku. Po jednej stronie stoją namioty podobozów męskich (szkolny i harcerski), po drugiej stronie podobozu żeńskiego. Dwa pozostałe (dłuższe) boki zajmują długą przerywaną linią namioty komend, służb, policji, namioty mieszkalne, przybyłych na odpoczynek nauczycieli oraz „dzielnica handlowa” i szpitalik obozowy. Dzięki parusietmowej odległości podobozu męski i żeński nie są skrupowane wzajemną bliskością. Jak widzimy, warunki naturalne obozu są po prostu bajkowe, wysnione, wymarzone, nawet współpraca między obozowymi władzami szkolnymi i władzami harcerskimi układa się pomyślnie, a jezioro z łódkami znajduje się w pobliżu. Jednakże zawsze jakieś złowrogie „fatum” czuwa nad ludźmi, bacznie pilnie, aby nie działo się zbyt dobrze, nawet — młodzieży na obozie letnim. Na obóz letni w Köln — Müngersdorf fatum to przybyło w postaci pani Pogody.

Od chwili rozbitcia obozowych namiotów pogoda jest przedziwnie zła. Jeżeli wieczorem barwne tęcze — piękny zachód słońca, białe obłoczki (cirrus) i tym podobne znaki na niebie i ziemi wróżą na następny dzień „murowana” pogodę, to oczywiście następnego dnia deszcz leje ze zdwojoną siłą, a jeżeli w dzień przypadkiem deszcz „zapomni” — przypomnieć o swym istnieniu, to wynagradza sobie to „z nawiązką” przez całą noc.

Tego rodzaju pogoda trwa już bez

przerwy, poza małymi odstępami, od dwu tygodni i nie widać jakiegokolwiek poprawy. Próżno dzielni słoneczni rycerze promienistymi włóczniami starają się przebić grubą oponę chmur, chmury zwyciężają, lipcowe słońce ponosi klęskę po klęsce, aż przypomina się mglista kraina Albionu. Tak to, w takt smętnej melodii wichrów wszelkiego autoramentu, deszcz — deszcz i deszczyszko kropi — siąpi — mży — pada — leje — chlusta i moczy z niecierpliwością i wytrwałością godną lepszej sprawy. Każdy, kto zna życie obozowe, rozumie teraz, jak ciężkie zadanie miała Komenda obozu i ekipa harcerzy z Lippstadt, która rozbijała namioty, pracując w takich warunkach, co nie obyło się nawet bez poważnych zakażeń, gryp, reumatyzmów i „lupania w kościach”.

Komendantka obozu żeńskiego, hm Mazurek, opowiedziała mi tę całą Odyssę, mającą obrazy jej w tak czarnych barwach, że aż się przyko robiło, a ja, znając z doświadczenia te sprawy, współczułem jej i wszystkim innym, którzy z druhami „Starym Wyżłem” i „Mikusiem” na czele przebyli tam pierwszy, najcięższy tydzień.

I co powiecie, druhny i druhowie? Młodzież, przybyła na obóz w liczbie pokaznej (prawie 500), nie mogąc się doczekać błysku słońca, wołała głośno, że... „to Komenda winna, że słońca nie ma”!

Tak to szaro-oblowane niebo, oblwanym ciężarem spada na dusze, odbiera obozowiczom 90% humoru i powoduje, że (doskonale nieraz zresztą) programy życia obozowego ulegają przekreśleniom. W rezultacie liczba obozowiczów spadła o około 10%. Ktoś może pomyśleć, że to zjawisko b. usjemne...? Wprost przeciwnie. Trzeba być samemu osobicie na obozie w Köln, trzeba zmoknąć przez dziesięć dni z tzedu, trzeba posiedzieć parę dni „z nosem spuszczonego na kwintę i na kwartę” w namiocie, w którym

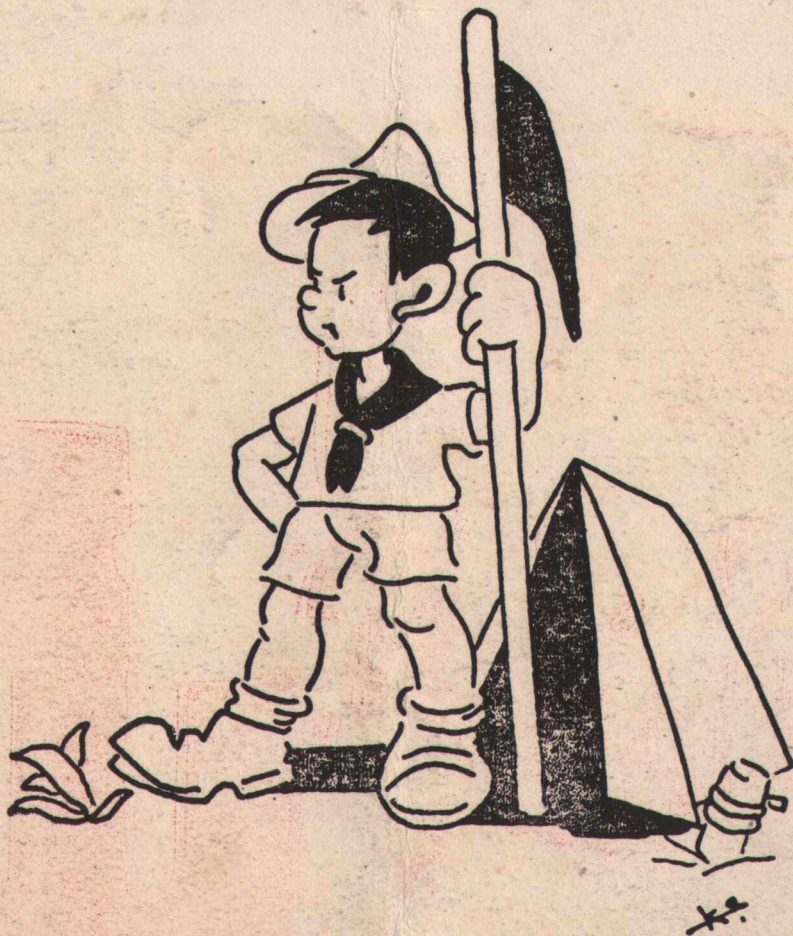
w dodatku „kapie z dachu“ wprost na twój śpiący nos. Trzeba, mój bracie, pochłapać się trochę w błotku i postrząść trochę w chłodku (horrendum—połowa lipca), trzeba wreszcie zrezygnować z wielu imprez i przyjemności „ze względu na niepogodę“, aby ocenić wytrwałość i pogodę ducha tej młodzieży, oraz wolę przełamania trudności ze strony Komendy obozu, która bynajmniej nie załamuje bezradnie rąk, tylko walczy—z pogodą — chmurami — zniechęceniem — trudnościami aprowizacyjnymi, i... nie myśli dać za wygraną.

Komendant pewnego razu dowcipnie wyraził się: „chłopcy, musicie przy-

gotować długie tyki i popychać chmury...”

W chwili, gdy piszę te słowa, wszyscy obozowicze, uczenice i uczniowie, nauczyciele i nauczycielki, harcerki i harcerze, a nawet zuchy, którzy zresztą... (ale o tym innym razem), czekają pełni nadziei na lepsze, słoneczne dni. Każdy jest przekonany, że tej „złej Pani Pogodzie“ musi się wreszcie kiedyś sprzykrzyć, a wówczas ziewnie ona i pójdzie spać, a słoneczny władca lata ciepłem i blaskiem otoczy obóz, aby znów zabrzmiał śmiechem, weselem, gwarem. Wszyscy w to wierzą, a ja... wierzę razem z nimi. Z. B.

Köln-Müngersdorf, 11.VII.48.



Wydawca—w imieniu Głównej Kwatery Starszego Harcerstwa—Kraj Starszoharcerski im. A. Małkowskiego w Bad Munder, Ziegenbuche 6.

Adres Głównej Kwat. St. Harc.: 45, Gloucester Road, London S.W. 7, Britain.



archiwum
harcerskie.pl